

Wstęp

Pielgrzym. Dla dziecka dorastającego w Ameryce słowo *pielgrzym* nie niosło w sobie żadnych skojarzeń religijnych. Słyszano je głównie w liczbie mnogiej, ponieważ odnosiło się do odzianej na czarno wspólnoty angielskich purytanów, którzy nie bojąc się burzy, przepłynęli przez Atlantyk na statku *Mayflower* i w grudniu 1620 roku założyli wieś Plymouth nad zatoką Massachusetts. Nie był to cel, do którego zmierzali pielgrzymi – chcieli dotrzeć do Wirginii – ale gwałtowna zimowa burza zagnała ich właśnie w to miejsce. Ponieważ byli pielgrzymami, zaakceptowali wolę Bożą. Następnej jesieni pielgrzymi wraz z Indianami, którzy im pomogli przetrwać, wyprawili ucztę, aby świętować obfite plony. Takie jest pochodzenie ulubionego święta Amerykanów obchodzonego co roku. Uczta Dziękczynienia, bo o niej oczywiście mowa, sprawiła, że słowo *pielgrzym* stało się bardziej zrozumiałe dla dziecka. Można było je skojarzyć z zapachem pieczonego nadziewanego indyka, sosu żurawinowego, słodkich ziemniaków, cebuli w sosie śmietankowym i ciasta dyniowego.

Dopiero w ósmej klasie odkryłem, że na długo wcześniej, zanim *Mayflower* wyruszył w swoją podróż, istnieli inni pielgrzymi. Dowiedziałem się tego z encyklopedii (*World Book Encyclopedia*), pięknie oprawionego kompletu ksiąg, które razem zajmowały około metra długości. Została ona

podarowana naszej szkole przez pewnego hojnego darczyńcę i opatrnościowo umieszczono ją w mojej klasie. Była dla mnie niczym dar niebios. Przeczytałem ją całą, zaczynając od pierwszego tomu po lewej stronie obejmującego hasła od Aardvark do Bermudy. W drugim tomie odkryłem ilustrację z wczesnej kopii *Opowieści kanterberyjskich* Chaucera. Był to średniowieczny obrazek przedstawiający grupę mężczyzn i kobiet odzianych w kolorowe szaty, zmierzających konno pod błękitnym niebem Londynu do katedry w Canterbury. Tekst głosił, że w tej katedrze dnia 29 grudnia 1170 roku rycerze króla Henryka II zamordowali Tomasza Becketa – jego czaszka została rozplątana mieczem. W tym samym momencie Tomasz Becket stał się świętym męczennikiem, a Canterbury, splamione jego krwią, stało się miejscem przyciągającym pielgrzymów.

Właśnie wtedy po raz pierwszy natknąłem się na język, który był dla mnie zarówno obcy, jak i znajomy: średnioangielski. Oto fragment ze wstępu do *Opowieści kanterberyjskich*:

Gdy kwiecień deszczu rzęśistym strumieniem
Marcową suszę zmoczy do korzeni
I skąpie żyłę ziemi w takim płynie,
Który kwitnienia moc daje roślinie;
Gdy zefir ciepłym oddechem owionie
Wiotkie łodygi na polach i błoniach,
A młode słońce na tarczy zodiaku
Zbiegnie pół drogi spod Barana znaku
I poczną śpiewać maleńkie ptaszęta,
Których żrenica we śnie nie zamknięta,
Bo w nich tęsknotę budzi przyrodzenie,
Wtedy i ludzi ogarnia pragnienie

Zbożnej pielgrzymki, idą w obce strony
Do świętych grobów cudami sławionych,
Zwłaszcza z najdalszej nawet okolicy
Do Kanterbury wędrują Anglicy,
Świątemu złożyć hołd męczennikowi,
Że im dopomógł, z choroby uzdrowił.

OPOWIEŚCI KANTERBERYJSKIE,
PRZEL. H. PRĘCZKOWSKA

Czy to możliwe, że moje pierwsze spotkanie z językiem średnioangielskim miało miejsce tak wcześnie? To było przecież New Jersey, lata pięćdziesiąte. Czy to możliwe, że *World Book Encyclopedia*, produkt tak bardzo amerykański jak płatki śniadaniowe, ośmieliła się epatować młodych czytelników słowami, których pisownia i znaczenie dawno już odeszły w przeszłość? Ale przynajmniej był tam obrazek przykuwający uwagę, byli na nim mężczyźni i kobiety odziani w kolorowe szaty, wyruszający w podróż na małych konikach, a nad nimi niebo – błękitne jak jajko drozda. Był tam także tekst, a w nim wzmianka o Chaucerze, czternastowiecznym poecie angielskim. W jego opowieści niespieszni pielgrzymi wymieniali się swoimi opowiadaniem, tworząc epicką ścieżkę historii, która połączyła Londyn z Canterbury.

Pielgrzymka. To prawie takie samo słowo jak *pielgrzym*, tylko o sylabę dłuższe, a mimo to ta dodatkowa sylaba tworzy słowo skłaniające do refleksji. Sprawiała, że moje myśli powędrowały przez Atlantyk do starego świata, do średniowiecza. Pielgrzymka wydała mi się kuszącą przygodą, konną przejażdżką, której uczestnicy dzielą się swoimi opowiadaniem z towarzyszami podróży. Chociaż wiedziałem bardzo niewiele o biskupach i królach, a jeszcze mniej o motywach, które skłoniły króla Henryka do przecięcia mieczem życia

arcybiskupa, nie potrzebowalem żadnego wyjaśnienia, dlaczego splamiona krwią podłoga kościoła stała się miejscem tak mocno przyciągającym ludzi. A byłem wtedy zaledwie trzynastoletnim chłopcem.

Moją pierwszą pielgrzymką książkową z prawdziwego zdarzenia było przeczytanie *Przygód Hucka*, opowieści Marka Twaina o zbiegłym chłopcu i o niewolniku podróżujących nocą na tratwie w dół rzeki Missisipi. Nie kierowała nimi chęć odwiedzenia szczątków zmarłego męczennika, popychał ich do przodu jedynie nurt rzeki, a mimo to ci dwaj podróżnicy byli swego rodzaju pielgrzymami szukającymi wolności. Dryfowanie z prądem rzeczny w nocy i wpatrywanie się w rozgwieżdżone niebo wydało mi się znacznie lepszym sposobem nawiązania dialogu z wszechświatem niż siedzenie w szkolnej ławie. Mark Twain bynajmniej nie nazywa ich wędrowniaki pielgrzymką. W jego książce nie ma żadnej wzmianki o tym, że Huck i Jim mają jakiś religijny cel swojej podróży. Mimo to czułem, że ta podróż, ze względu na różne niebezpieczeństwa i pomimo braku jakichkolwiek świątyń czy relikwii, pozwalała dwóm podróżnikom czasami zobaczyć skrawek nieba.

Gdybym był w szkole pół wieku wcześniej, to z pewnością moją lekturą byłaby książka Johna Bunyana *The Pilgrim's Progress* (*Wędrowniaki Pielgrzymy*). W świecie anglojęzycznym, od siedemnastego do dwudziestego wieku, ta książka była prawie tak popularna jak Biblia. Właściwie w wielu domach były jedynie te dwie książki. Ale wątpię, by w latach pięćdziesiątych w szkolnej bibliotece znajdowała się choć jedna kopia książki Bunyana. A nawet jeśli była, to nigdy jej nie zauważyłem.

Przeczytałem ją, dopiero kiedy robiłem kurs literatury angielskiej w Hunter College na Manhattanie. Jej główny bohater – chrześcijanin – jest przeciętnym człowiekiem próbującym odnaleźć drogę z Miasta Zagłady do Niebiańskiego Grodu. To nie jest łatwa droga. Jest na niej wiele przeszkód. Zosta- je skierowany do Ciasnej Bramy, która symbolizuje wąskie przejście do Królestwa Niebieskiego, o którym Chrystus mó- wi w Ewangelii, ale sprowadzają go na manowce pan Mędrek oraz pan Litera Zakonu i jego syn – mieszkańcy wioski o na- zwie Moralność. Mimo to w końcu chrześcijanin odnajduje Ciasną Bramę i dostępuje łaski oglądania samego Jezusa.

Książka Bunyana pomogła mi zrozumieć, że słowo *piel- grzym* może być używane w znaczeniu metaforycznym: każ- de życie bez wyjątku jest nieustanną pielgrzymką z łona mat- ki do grobu, jest to pielgrzymka zakończona sukcesem, jeśli trafiamy do nieba, a porażką, jeśli wpadamy do piekła.

To wreszcie w Hunter College przeczytałem *Opowieści kanterberyjskie*, walcząc z językiem średnioangielskim, a jed- nocześnie czując się przezeń zauroczony. Zaskoczyło mnie, że ludzie udający się na pielgrzymkę niekoniecznie rozma- wiali o „świętych sprawach”. Jeden z pielgrzymów opowiadał o pewnym studencie, który uwiódł żonę gospodarza, u któ- rego wynajmował pokój, i jednocześnie przekonał niezbyt mądrego męża, aby schował się w beczce, wmawiając mu, że zbliża się zagłada świata. U pielgrzymów Chaucera można odnaleźć więcej rubasznego humoru i otwartej dyskusji na temat spraw seksualnych niż w literaturze współczesnej.

Przybyłem do Hunter College jako student zaoczny jesie- nią 1961 roku, kilka miesięcy wcześniej zostałem zwolnio- ny ze służby w marynarce ze względu na przekonania. Poza

jednym wieczorem w tygodniu, kiedy studiowałem literaturę angielską, resztę czasu spędzałem głównie we wspólnocie katolickich robotników – Catholic Worker, na Chrystie Street, na dolnym Manhattanie. Było to miejsce nadające nowe znaczenie słowu *pielgrzymka*.

Założycielką wspólnoty i jej *spiritus movens* była Dorothy Day. Jej rubryka w wydawanej przez nas gazecie „The Catholic Worker” nosiła tytuł *On Pilgrimage (Na pielgrzymce)*. Był to rodzaj bieżącego dziennika: informacje o podróżach Dorothy, jej gościach, książkach, które czytała, rozmowach, w których uczestniczyła, a nawet operze, którą słyszała w radiu w niedzielne popołudnie. Dorothy nadała słowu *pielgrzymka* znaczenie w konotacjach współczesnych, a nie średniowiecznych. Jak pisał John Bunyan: każdy dzień naszego życia i wszystko, co dzieje się po drodze, zaplanowane bądź nieoczekiwane, stanowi fragmenty naszej pielgrzymki do nieba, pod warunkiem że żyjemy Ewangelią i odkrywamy Chrystusa w ludziach, których napotykamy na swojej drodze. Dla Dorothy pielgrzymka była sposobem na życie, rodzajem wsłuchiwania się w innych, postawą, która kierowała jej wyborami, dyscypliną narzuconą życiu.

Zacząłem spoglądać na swoje życie również jak na pielgrzymkę.

Odbywało się wtedy wiele małych pielgrzymek do kościołów na Manhattanie, do jednych szło się pieszo, do innych jechało metrem. W tamtych czasach kościoły katolickie były zwykle otwarte cały dzień, a nawet całą noc. Zatem na końcu każdej drogi można było znaleźć miejsce modlitwy przed Najświętszym Sakramentem.